

Kazimierz Kord

(1930–2021)

✎ Grzegorz Michalski

Po wielkim artyście zostaje jego dzieło. Jednak wraz z Kazimierzem Kordem odszedł być może „ostatni, co tak poloneza wodził”. Jego skromność przerastała wielkość kariery i zawodowej pozycji, jaką osiągnął w świecie. Nie lubił, nie umiał mówić o sobie, dobrze wiedział, ile potrafi, ale wciąż porównywał własne osiągnięcia z wyobrażeniem ideału, do którego dążył. Dlatego innym, zwłaszcza przyjaciółom muzykom i krytykom, zostawiał ocenę swych osiągnięć. Trudno było dowiedzieć się od niego, co ostatnio zrobił, gdzie i z jakim skutkiem dyrygował. Miałem wrażenie, że często obawiał się, iż samo wyliczenie miejsc i postaci, z którymi dane mu było pracować, zostanie odebrane jak przechwałka. Wolał milczeć. I chyba to właśnie jest główną przyczyną powszechnej u nas nieświadomości, z kim mieliśmy do czynienia. Drugim, pewnie nie mniej ważnym powodem niedoceny był niefortunny czas, w którym osiągnął dojrzałość i możliwości tworzenia największych kreacji.

Silnie zapisały się w jego pamięci dramatyczne dzieciństwo w warunkach wojny, niedostatku i zagrożenia, niełatwe początki nauki w Krakowie, potem w Katowicach. Jednak już od momentu, gdy jako maturzysta podjął studia w Konserwatorium Leningradzkim, a następnie z dyplomem pianisty rozpoczął krótko trwającą naukę dyrygentury w Krakowie u Artura Malawskiego i Witolda Krzemińskiego – z perspektywy lat oceniał swoje życie jako pasmo wydarzeń szczęśliwych. Jak powie potem, nigdy nie planował kariery, ale robił to, co było możliwe w danym czasie i co potrafił wykonać najlepiej. Zatem dyrygował – stworzonym przez siebie zespołem kolegów, potem chórem w krakowskim Teatrze Muzycznym i Operze Warszawskiej, wreszcie

dostał pierwsze szefostwo – w Miejskim Teatrze Muzycznym w Krakowie. Ciekawe, że wtedy właśnie stworzył spektakle, które zapamiętał jako osiągnięcia wybitne, budujące jego osobowość i wiarę w siebie. Także karierę – to stąd wyruszył w znaczną największymi sukcesami drogę do teatrów i orkiestr w Amsterdamie, Düsseldorfie, Katowicach (WOSPRiTV), Londynie, Monachium, Tokio, Toronto, w końcu do nowojorskiej Metropolitan Opera. Zaproszenia sypały się z całego świata jak z rogu obfitości. Kilka z wizytowanych zespołów chciało mieć Korda jako swego dyrygenta – przyjął, i to na krótko, tylko jedną propozycję: od orkiestry Söddeutsche Rundfunk w Baden-Baden. Najbardziej kusząca była jednak oferta Met – kilkadziesiąt prowadzonych tam spektakli, chociażby historyczna premiera *Borysa Godunowa* na otwarcie sezonu 1977 roku, zaowocowała ofertą stałej współpracy. Ale wtedy właśnie Kazimierz Kord przyjął szefostwo Filharmonii Narodowej w Warszawie i uznał za niemożliwe odpowiedzialne prowadzenie dwóch placówek. W Warszawie został praktycznie do końca swojej kariery.

Miałem okazję bliżej go poznać w okresie warszawskim, kiedy poprosił mnie o współpracę przy przygotowywaniu programu Narodowej. Życzyłbym każdemu muzykowi takiego utalentowanego, lojalnego i odważnego szefa. Najważniejsza była dla niego praca z orkiestrą – kształtowanie jej brzmienia, sprawności, zdolności rozumienia muzyki, serdeczności we wzajemnych relacjach. Punktem newralgicznym w planowaniu każdego sezonu była obsada zapraszanych dyrygentów i solistów – zobaczyłem wówczas Kazimierza Korda wolnego od zawiści, chęci rywalizacji, spragnionego wielkich artystycznych przeżyć. Sam był najsilniejszą podporą – zarówno w sprawach programowych, jak i w prowadzeniu tej skomplikowanej instytucji. Pracował szybko i zawsze w największym napięciu. Dziś wiem, że nie mogło być inaczej, gdyż wyznawał zasadę, iż „artyści są kapłanami piękna i muszą zawsze realizować to powołanie. Jeżeli tracą tę zdolność, odchodzą od sztuki”.

Kazimierz Kord odszedł od nas 29 kwietnia 2021 roku w wieku 90 lat – na szczęście zostały niezliczone nagrania...



Fot. Krzysztof Wojciechowski/dzięki uprzejmości Filharmonii Narodowej